



BAJKA

A była taka Kaczka złotonóżka,
 a była taka Kaczka Złotodzióbka.
 Mieszkała w pałacach,
 jadła na złotych tacach,
 sypiała na złotych łózkach.
 Miała ta Kaczka nieprzyjaciela,
 bardzo srogiego Czarodzieja.
 On mieszkał pośrodku boru, na miejscu
 najsuchszym,
 na Czarnym Ostrowie, pod Czerwo-
 nym Dębem, w żelaznym kufrze.
 I ta Złotonóżka Kaczka
 miała przyjaciela, zwinnego Robaczka,
 Jak ten zwinny Robaczek jał dziury w
 żelaznym kufrze wiercić,
 narobił przeciągów w głębi,

Czarodzieja srogiego na dnie
 przeziębik
 Już Czarodziej konający leży,
 już Goniec od niego naprzelał bieży
 do wielmożnej, sprawiedliwej Śmierci,
 Miesiąc wisi na niebie sierpem,
 Goniec stoi nad morzem sinem
 „Śmierci, śmierci, pośpieszaj
 przyplynać,
 stań u nas na wysokim Ostrowie,
 Czarodzieja od życia wyswobódź,
 bo bardzo cierpił”
 I była taka Złotonóżka, Złotodzióbka
 Kaczka.
 Miała Czarodzieja nieprzyjaciela
 i miała przyjaciela Robaczka.

Śpiąca królewna

Jam śpiąca królewna, mała, złotowłosa
 panna,
 zapatrzona w błękity i ciszę.
 Na promieniach wisi moja trumna szklana,
 wiatr ją kołysze.
 Zapomniałam, nie wiem, gdzie moja
 korona.
 Dawno, dawno odeszłam od ludzi.
 Serce zamilkło, jestem uśpiona.
 Kto mie obudzi?
 Z za sinego morza i z za gór wysokich
 idzie dobra wróżka, idzie wiosna,

a któredy przejdą jej powiewne kroki,
 wszędzie kwiaty rosna.
 Idzie z nią królewicz Maj.
 (Czuje w szklanej trumnie).
 Zimne bzy mi niesie w podarunku.
 Przyjdzie, klęknie, spojrzy kochająco,
 dumnie
 i obudzi serce pocałunkiem.
 Pryśnie kryształowa moja trumna szklana
 i otworzę oczy nieprzytomne, ślepe,
 a on powie: — Powstań, złotowłosa panno,
 serce twe ożyło, odrzuć krepę!

O krawczyku który szyl djabłu weselne ubranie

To mówiąc wyjął z lewej kieszeni pusty laskowy orzech, zagwiżdżał trzykrotnie w lupinę, uderzył obcasem o pień i krawczyk zobaczył ze zdumieniem, że znajduje się w obszernej skalnej grocie, której jeszcze nigdy nie widział, chociaż las cały znał doskonale.

— Jakaś nieczysta siła — pomyślał, ale się nie bał, bo wierzył, że go dobry Bóg nie opuści w żadnej przygodzie. Rozglądał się ciekawie po jaskini i zauważył, że u stropu, niby zasłony, wisiały długie siatki pajęczne, nad wejściem rozpościerały swe błoniste skrzydła nietoperze, a we wszystkich czterech rogach siedziały czarne koty i groźnie świeciły zielonemi ślepiami. Przy świetle kocich oczu wszystko widać było dokładnie i dało się nie tylko czytać, ale i szyć. Krawczyk wyciągnął swe przybory, rozłożył je na dużym płaskim kamieniu, który znakomicie mógł służyć za stół.

Nieznajomy z radością zacierał ręce i wskazując na pajęczyny zawołał rozkazującym tonem:

— Oto płótno! bierz ile zechcesz i uszyj mi koszulę, a materiał na ubranie zaraz przyniosą ci myszy!

— Nie widzę tutaj płótna — odpowiedział krawczyk.

— Bierz co widzisz, djabłu i pajęczyna na koszulę wystarczy — odparł nieznajomy i roześmiał się tak głośno, że aż z ust buchnął mu jaskrawy płomień i posypały się iskry.

Krawczyk nie miał teraz najmniejszej wątpliwości, że z djabłem się spotkał, ale że duszę miał czystą, więc nic, a nic się nie bał.

Dobrze — powiedział — wezmę się zaraz do roboty, ale najpierw muszę wiedzieć, jaką dostanę zapłatę?

Worek srebra za koszulę, a worek złota za ubranie — odparł djabel.

Ale krawczyk przeczaco sknął głową.

— Jeszcze po worku dodam — zawołał djabel —, ale bierz się mój panie do roboty, bo na wesele nie zdążę.

Krawczyk jednak siedział nieruchomo,

udając, że nie słyszy, więc djabel trącił go w ramię i wrzasnął nad uchem.

— Śpiesz się! śpiesz, niech stracę, dam ci trzy worki srebra i tyleż złota.

Krawczyk jednak wzruszył ramionami i powiedział:

— Na złoto i srebro nie jestem łakomy, chciałbym tylko mieć igłę, która nigdy się nie złamie, nitkę, która wszystko zaszycie, nożyczki, tak ostre, żeby wszystko skrajał i sztukę materiału, co się nigdy nie kończy.

— Głupstwo, dam ci to wszystko — odparł djabel.

— Nie wierzę — rzekł krawczyk chyba, że się teraz przekonam zanim rozpocznę robotę.

I cóż miał robić djabel, któremu się zachciało iść na wesele w nowym ubraniu? Pólnoc była już blisko, świsał więc w pusty laskowy orzech, a krawczyk ujrzał przed sobą wszystkie żądane przedmioty.

Wziął w rękę igłę, przewłócił nitkę przez uszko i zaczął zszywać dwa kawałki pajęczyny, szło znakomicie, ale nie dziwnego, przecież pajęczyna jest cienka i delikatna, wziął więc dwa kamyki, wbił igłę, która się wcale nie złamała. Za chwilę spróbował nożyczek, cięty kamień, jakby to był cieniutki jedwab.

— No dobrze, sprawdziłem igłę i nożyczki, myślę że sztuka sukna i nici też będą dobre. A teraz proszę pana do miary — rzekł krawczyk.

Djabel stał nieruchomo, wyciągnięty jak struna, a krawczyk wziął miarę i na koszulę i na ubranie, a potem zabrał się do szycia. Ponieważ szyl djabelską igłą i djabelską nitką więc co zrobił jeden, dwa ścięgi to i cały szew już był gotowy.

W ten sposób przedziutko uszył koszulę z pajęczyny i ubranie z szarego mysiego futerka. Djabel z radością zacierał ręce, bo gdy spojrzął na zegarek, to przekonał się, że brakowało jeszcze trzy kwadransy do północy.

Krawczyk tymczasem skończył i rzekł: Proszę teraz przymierzyć ubranie, bo muszę naznaczyć miejsca na guziki.

Djabeł ubrał się posłusznie, a krawczyk niby to znaczył miejsca na guziki, przyszył go igłą, co nigdy się nie łamie i nitką, co wszystko szyje, mocno do skały. Potem wziął w rękę ostre nożyczki, które wszystko krają, wyciął dziurę w ścianie i wyskoczył do lasu zawoławszy na pożegnanie:

— Bądź zdrów djable! Niech ci się na zawsze odelecie kusić porządnym ludzi i stroić na wesele w ubranie szyte przez pobożnego krawca!

Djabeł, który spostrzegł, że został oszukany, zgrzytnął ze złości zębami szarpnął się raz i drugi, ale nim oderwał

się od skały, krawczyk dobiegł do Męki Pańskiej i tam bezpiecznie przesiedział do rana. Gdy weszło słońce poszedł do domu, a po drodze wyrzucił djabelskie dary.

Skoro wymknął się ze szponów djabła wystarczyła mu już zwykła igła, stalowe nożyczki i bawełniane nici. Nie potrzebował również sztuki sukna bez końca, bo był zdolny i pracowity więc nigdy nie brakło mu materiału do szycia. Krojąc ubrania dla małych chłopców i dla dorosłych lubił wspominać o swej przygodzie, to też wielu ludzi umiało ją napamięć, a od nich i ja się dowiedziałam, żeby wam powtórzyć.

Baśń o arytmetyce i o leniwym Sebastjanku

Był sobie Sebastjanek uczniem. Miał pióro, ołówek, książki i różne szkolne obowiązki.

A tam w tej szkole radości wiele, bo są koledzy i przyjaciele.

A tam w tej szkole nauka taka miła, każdegoby zachwyciła.

Ale w tem jest właśnie cała tajemnica, że się Sebastjanek nauką nie zachwycił, a już najbardziej bezwątpienia nie lubił się uczyć tabliczki mnożenia. Nieuważny był okropnie i z rachunków złe miał stopnie.

Pewnego dnia powiedziała pani nauczycielka, że będzie nowe zadanie klasowe. A do klasówki trzeba mądrej główki, bo niechno się tylko w pamięci tabliczka mnożenia pokręci!

Wszystkie dzieci słuchały, nauczyć się tabliczki święcie obiecały, a Sebastjanek, gdy zaświtał następny poranek, zamiast iść do szkoły na klasówkę, chyłkiem, milczkiem wziął swoją teczkę i, oszukując ojca i matkę, pobiegł sobie do ogrodu, by pod kasztanem spocząć wśród chłodu.

Siedzi sobie Sebastjanek na ławce, przygląda się zielonej murawce i mówi: — Nie chcę już się uczyć dłużej, wolę mieć posadę, jak mój tatuś w biurze.

Na te słowa Sebastjanka stanął przed nim człowieczek w czapeczce z kasztanka i mówi. — Słysz, że waszmości nie potrzebna już nauka, że waszmości teraz posady szuka. Dam waszmości taką radę, że

wnet znajdzie posadę. Niech tylko waszmość pójdzie ze mną do pani jesieni. Ma ona suknię lśniąca złociście, a na tej sukni kasztanowe liście. Siedzi sobie pod wielkim drzewem i cały las rozwesela swym śpiewem, a jak tylko piosneczkę zaśpiewa, wnet złoty listek opada z drzewa.

— O, to chodź ze mną, kochany człowieczku — zawołał Sebastjanek — i niech mi pani jesień da posadę jakąś w lesie.

Człowieczek wziął Sebastjanka za rączkę i tak razem podreptali do lasu, co się zielenił woddali.

Idą, idą, koło dębów, koło lip, tu zielenieje paproć, tam znów zółci się grzyb.

Idą, idą, a tak przyjemnie iść, pod nogami mech aksamitny, pod nogami czerwony liść.

Idą, idą, wreszcie patrzą: jest! A kto? A pani jesień!

A gdzie? A w cieniu starego kasztana siedzi, w długą suknię ubrana! A koło niej trzech duszków - człowieczków, a każdy w kasztanowym czepczku.

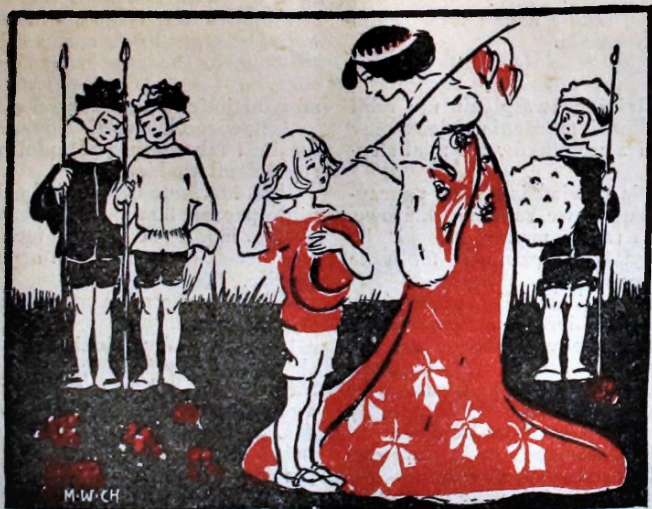
Na znak dobrego wychowania, Sebastjanek grzeecznie się pani jesieni kłania i prosi:

— O królowo dębów i buków, o królowo mchów i paproci, nie odmawiaj mi swojej dobroci i, jeżeli tylko możesz, daj mi posadę w swoim leśnym dworze.

Na to pani jesień rzeczy głosikiem tak miłym, jakby konwalijki leśne zadzwończyły:

— Widzę przed sobą szkolnego chłopca, pewnie arytmetyka nie jest ci obca. Spadłeś mi jak deszcz z nieba, bo właśnie arytmetyka było mi potrzeba. Skarżyły mi się już leśne stworzenia, że nie umieją

mnie, będziesz pracować, będziesz wszystkim wokoło pomagał rachować. Dostaniesz za to, kochanie, codziennie piętnaście orzechów na śniadanie, a żeby ci tego nie było za mało, dostaniesz jeżyn kobialec-



tabliczki mnożenia. Prosił mnie bocian, muszka i jeź, a i kasztanowe ludki prosiły mnie też, żebym im sprowadziła rachmistrza dobrego, co by mógł w rachunkach pomóc w razie czego. A więc zostań u

kę całą, a jeśli do pracy okażesz dobre chęci, sama ci z kory wystrugam okręcik.

— A gdzie będę spał, gdzie łóżeczko będę miał? — spytał Sebastjanek.

— Rośnie tu wrzos liliowy, u dróżki,

będziesz miał z niego miękkie poduszki, a liści tyle spadło dziś z leszczyny, że ci wystarczy aż na trzy pierzyny. No, a teraz nie marudź dłużej, do pracy zabierz się, nużel

dułkę zawołafa i o wszystkim jej opowie działa.

Poleciała kukulka w głąb lasu, narobiła wielkiego hałasu.

— Kuku i kuku, na dębie i na buku.



Sebastjanek zamajnął nóżkami i poszedł leśnymi drózkami.

A wziął z sobą zeszyt i ołówek, bo tak mu doradził kasztanowy człowieczek.

A pani jesień tymczasem kukulkę-ga-

I tak kukulczanej pieśni wysłuchali mieszkańcy leśni, że to pani jesień zgodziła chłopczyka rachmistrza, co z ołoweczkiem chodzi po borze i każdemu chętnie w rachunkach pomoże.

A Sebastjanek idzie lasem i martwi się szalenie, że był takim leniem nad lenie i wzdycha pełen frasunku, że nie umie dobrze rachunków, bo jakżeż sobie poradzi na tej wspaniałej posiadzie? Za cóż brać będzie jeżyny i orzechy, jeśli z jego rachunków nie będzie pociechy!

Idzie Sebastjanek z wielkim strachem, patrzy, a tu stoi jabłoneczka, a na tej jabłoneczce gałazeczka, a na tej gałazeczce duszek bardzo pracuje i jabłuszkom czerwone policzki maluje.

Zobaczył duszek Sebastjanka i krzyczy:

— Panie arytmetyku, niechże mi pan coś obliczy. Od rana pracuję, jabłuszka maluje. Właśnie wiedzieć chciałem, ile już namalowałem, jeżeli na tej jabłoneczce dziewięć gałazeczek, a na każdej było po 'dziewięć jabłuszek. Po dziewięć jabłuszek na gałazce w rzędzie, obliczno, kochanku, ile razem będzie.

Sebastjanek zrobił się czerwony, jak mak i myśli tak: — Ojej, w pamięci wszystko mi się dziwnie kręci. Jak dziewięć przez dziewięć pomnożę, ileż to wypaść może?

Liczy Sebastjanek, liczy, liczy, nie może policzyć. Ale się uparł: — Muszę policzyć, niema rady, inaczej wyrzucą mnie z posady.

Na szczęście przypomniał sobie w tej chwili, jak w szkole ~~czasem~~ na patyczkach liczyli. W mig nabierał patyczków. Ułożył dziewięć rządków po dziewięć w każdym rzędzie, liczy, liczy, obliczył. A był już czas najwyższy, bo mu duszek z drzewa krzyczy: — Ej, coś za długo rachujesz, kochany, czyś ty jest rachmistrz, czyś głąb kapuściany?

Stropił się Sebastjanek, ale mówi śmiało: — Choć z tym rachunkiem wielką miałem biedę, lecz dziewięć razy dziewięć osiemdziesiąt jeden.

Oj, cieszył się, cieszył pracowity duszek, że namalował tyle jabłuszek, a Sebastjanek z radością się napuszył i dalej drogą ruszył.

Idzie, idzie i spotyka dwóch duszków koło słonecznika. (A te wszystkie duszki, to pani jesieni służki). Miłe duszki się starają, słoneczniki do słońca odwracają, żeby przedzej dojrzały, żeby im pesteczki zczerniały.

Zobaczyły duszki Sebastjanka i jeden z nich prosi: — Policz mi, łaskawy panie arytmetyku, ile dziś do słońca odwróciłem

słoneczników! Od rana pracowałem, na szczęście grządkach je odwracałem. Po sześć odwróciłem na każdej grzędzie, strasznie jestem ciekaw, ile razem będzie?

Słucha Sebastjanek uważnie i liczyć zaczyna w mozole, tak, jak jeszcze nigdy nie obliczał w szkole: — Jak sześć przez sześć pomnożę, ileż to być może?

Liczy Sebastjanek, liczy i na palcach i w zeszytiku, ileż to będzie słoneczników? Wreszcie obliczył. — Sześć razy sześć — trzydzieści sześć, kto tego nie wie, nie wart chleba jeść.

Mały duszek straszliwie był rad, bo wypadło mu, że więcej zrobił, niż jego starszy brat i mówi: — Jakaż to pożyteczna wieść: sześć razy sześć — trzydzieści sześć.

Sebastjanek z radości napuszył się, jak paw i poszedł dalej dróżką wśród traw.

I znowu spotyka na trawie dwóch duszków, którzy dmuchają w dmuchawce. Z całych sił dmuchają i tak śpiewają:

— Lećcie, nasionka,
z wiatrem po świecie,
może gdzieś w ziemi
kącik znajdziecie.
Da wam ziemia
kącik mały,
znów będziecie
kielkowały.

Hej!

— Hej! — śpiewają duszki
A potem w maju,
z tą nową wiosną
nowe dmuchawce
z nasion urosną.
Będą sobie w słonku stały,
żółte główki będą miały.

Hej!

Sebastjanek słucha, aż tu jeden duszek śpiewając przestaje i takie chłopcu pytanie zadaje: — Mój chłopczyku arytmetyku, od rana dziś pracuję, dmuchawce rozdmuchuję. Rozdmuchałem już sześć razy po pięć i chciałbym wiedzieć dokładnie, ile to wypadnie?

Sebastjanek do rachunku zabrał się z zapałem i po chwili powiada: — Już obliczowałem, chyba w najgłupszej głowie się zmieści: sześć razy pięć to jest trzydzieści.

(Dokończenie nastąpi)

Z czego ludzie naprawdę mogliby być dumni

Mały Konrad widział model globu z linjami komunikacyjnymi, wykreślonymi czerwono. Sieć kolejowa przecinała lądy. Po oceanach biegły linje dróg okrętów. Pomyślał wtedy: — Jakżeż człowiek opanował ziemię! Złapał ją w siatkę tych dróg, jak motyla i jego jest!

Patrzył Konradek na samolot z balkonu. Samolot się wznosił, oddalał i zginął niemal za obłokami. Jakże był maleńki i nikły! A tam siedział człowiek! Daleko sięga moc śmiałego człowieka! Odlatuje sobie od ziemi, jak ptak od gniazda, a skrzydła sam sobie przypiął. Smugami tych lotów cudnych kreśli naokoło swego globu linje władzy, potęgi, obecności... otacza go, jak siecią...

A tam, gdzie już polecieć nie może, gdzie go najkunsztowniejsze skrzydła nie poniosą, w bezmiary gwiazdne posyła człowiek oko olbrzymiego teleskopu. Zbliżacie się gwiazdy! Na górze, wobec waszych ogromów maleńkich jak ziarno piasku, siedzi tysiące razy jeszcze mniejszy człowiek i kręci śrubką teleskopu. Więc przysuwa się niebo z gwiazdami. Jowisz i Mars posłusznie wstępują na pole badania, księżyc pozwala wędrować po swych srebrnych lądach. Droga mleczna zaprasza, jak gościniec... Gwiazdy i księżyc są olbrzymie i dalekie.

Ale tu, bliźutko jest kropelka wody, a w niej tysiąc stworzonek.

Konradek razu pewnego ogłądał mikroskop i patrzył przez to magiczne szkiełko. I tak wtedy mówił:

— A tuś mi, mały potworku, bakterjo! Siedz skopojnie pod mojem szkiełkiem, mam cię! Myślałaś, że cię nigdy a nigdy ludzkie oczy nie dojrzą, boś taka nieprawdopodobnie malusieńka! A oto cię znaleźli, zobaczyli opisali w księgach. To człowiek wymyślił sobie takie nowe, nadzwyczajne oko! — Duma rozpiera serce Konrada, gdy pomyśli o tem, że wszyscy uczeni i inżynierowie przekażą to wszystko nam, chłopcom i dziewczętom, uczącym się w szkołach. A my będziemy dalej pracowali, opanowywali ziemię i niebo, staniemy

się jeszcze mądrzejsi, jeszcze potężniejsi i urządzimy świat jeszcze wspanialej. Zbudujemy dużo aeroplanów, okrętów, mostów, wież, drapaczy chmur, wynajdziemy jeszcze tysiąc takich zabawek, jak radjo i kino i tysiąc tajemnic wydrzemy przyrodzie! Jakże dumny może być człowiek ze swej mocy!

O dzieci! I my pragniemy, żebyście pomnożyli zdobycze, przekazane Wam przez minione i mijające pokolenia. Żebyście do zwycięstw dodali zwycięstwa, do triumfów triumfy. Ileż nadziei wiąże się dla nas z Waszemi pochylonemi nad nauką główkami!

Pragniemy nawet jeszcze większych i trudniejszych zwycięstw. Bo, choć opanowaliśmy przestrzeń i czas, choć przekroczyliśmy granice naszego wzroku, słuchu i dotyku, źle i źle jest na świecie! Ludzie nie umieją się pogodzić i ciągle wszyscy boją się wojny. Ludzie nie umieją się urządzić, nie mają pracy, ani chleba. Cóż z tego, że zbliżyli gwiazdy? Nie umieją się zupełnie zbliżyć do siebie. Dziela ich nie chęć, nienawiść, żal, zemsta i upór. Cóż z tego, że w tej samej sekundzie usłyszą w Europie to, co się mówi w Ameryce, kiedy nie umieją usłyszeć głosu tych, którzy wołają, że lepiej sobie pomagają, niż się przesładować.

Samolot przeleciał przez Atlantycką — serce nie wie, jak trafić do sąsiada za miedzą. Dojrzelśmy bakterje chorób, których maleńkości wyobrazić sobie nawet nie można, a nie widzimy ogromnych, oczywistych wad ludzkiego serca: okrucieństwa, chciwości, zawziętości. I z czegoż mamy być dumni?

Nasza wiedza tak mało umie służyć szczęściu i dobru człowieka, nasze serca nie nadążają za wiedzą. Może Wy, dzieci, odmienicie świat? Może jakiś mały Konradek, który się zachwycę siłą i śmiałością współczesnego człowieka, będzie jednym z tych, co poprzestawiają zwrotnice i pęd genjuszu ludzkiego przerzucają na inny tor!

Złamana noga

Na podwórku kura złamała nogę; kulała, kiwała się, bardzo jej Kocia żalowała. Pobieгла do Ludwisia: „Ludwisiu, okno odmykaj, bo moja kura kuleje, bo moja kura kuszytka!” — Posłyszał Ludwiś i zapłakał, usiadł w oknie i łka, aż okno mokre.

Widzi Kocia, że na tem koniec, więc biegnie do Karolka: „Karolku, okno odmykaj, bo moja kura kuleje, bo moja kura kuszytka”. Usłyszał Karolek i westchnął. Usiadł przy oknie i wzdycha. Tak wzdychał, że aż szkło zupełnie zachuchał.

Widzi Kocia, że nic z tego i biegnie dalej. Biegnie, aż dobiegła do Pawelka: „Pawelku kochany, otwórz drzwi malowane, bo moja kura kuleje, bo moja kura mdleje”. Wyskoczył Pawelek jak stał z

domu, ułamał gałązkę klonu. Biegnie z Kocią, żeby zdążyć przed nocą. Biegną, galopują, tak bardzo kurki żalują.

Dobiegli tak aż do kurnika, a tam kurka ledwo kuszytka. Stoją inne kury, patrzą na nią z góry. A Ludwiś i Karolek wyglądają oknem, i tak płaczą i wzdychają, że aż ściana mokra.

Ukląkł Pawelek, ułamał kawałeczek gałązki klonowej, nożykiem dopasował i kurce złamaną nóżkę do patyczka umocował.

„Ko, ko, ko”, gdaknęła kurka i oparła się na patyczku swobodnie.

„Kukuryku”, zapiał kogut, „to jest prędko i skuteczny opatrunek”.

A Ludwiś i Karolek pozamykali okna, bo nie było już nad kim płakać.

Bawmy się

Jak dzieci prały?

Dziewczynki

(jedna do drugiej).

Wiesz co powiem ci, kochanie?
Urządźmy wielkie pranie...
Stos bielizny namoczmy
i na sznurach rozwiesimy...

Mydło

(wyskakuje z kąta).

A ja dość już mam czekania,
weźcie-no mnie też do prania!
To czekanie mi obrzydło...
Chcę pracować! Jakem mydło!

Dziewczynki

Wiesz co powiem ci, kochanie?
Z mydłem, to dopiero pranie!
Już bielizna rozwieszona,
cała praca jest skończona...

Magiel

(z kąta).

Ej, nie koniec jeszcze pracy!

Czy to magiel nic nie znaczy?

Moje walce z całej siły
będą gnioty i kręciły.

Dziewczynki

Wiesz co powiem ci, kochanie?
Wreszcie już skończone pranie
Wszystko takie czyste, świeże,
zaraz lalkę się ubierze.

Żelazko

(z płaczem).

A żelazko?... Praczki małe,
czyście o mnie zapomniały?...
Pysznie się bielizna czuje,
kiedy ja ją wyprasuję...

Dziewczynki

Wiesz co powiem ci, kochanie?
To ci praca z takim praniem!
Lecz bielizna śliczna, czysta.
Niechże lalka z niej korzysta.

Adres „Krasnoludków”: Redakcja „Nasze Życie”, Riga — Dzirnau 52. „Krasnoludki”

Drukarnia „RITI”, Rigā, Dzirnau ielā Nr. 57.